Nr. 21. Lwów, 1. listopada 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Aklimatyzowane zwierzęta łowne.

Napisał St. M.

W miarę jak rozszerzająca się cywilizacya, a zarazem postępująca z nią jednym krokiem coraz troskliwsza opieka nad pożyteczną zwierzyną, spowodowała prawie zupełne zniknięcie zwierząt drapieżnych, traciło łowiectwo w większej części Europy ten urok, jaki daje nadzieja spotkania się z drapieżcą grubego kalibru. Ryś i niedźwiedź cofnęły się w mroczne ostępy górskie, jeżeli zupełnie nie wyginęły, wilk złożył całe stosy „nosów“ w urzędach administracyjnych, płacących nagrody za tego najniesympatyczniejszego, bo brutalnego szkodnika — nawet lis w niektórych okolicach, gdzie łowiectwo stoi bardzo wysoko, uległ prawie zupełnej zagładzie i przestał być tak miłą ilustracyą niższych łowów. Trofea łowieckie rosły co do ilości — jakość ich jednak pozostawiała wiele do życzenia. Brak zwierzyny drapieżnej i tych emocyi, jakie ona sprawia, próbował świat łowiecki zastąpić przynajmniej rozmaitością zwierzyny. Stąd to poszło, że coraz więcej widzimy prób aklimatyzowania rozmaitej egzotycznej czworonożnej i lotnej zwierzyny. Ułatwienia, jakie w technice łowienia zwierząt najnowsze czasy wprowadziły, szybka komunikacya, nie pozwalająca na to, żeby złapana zwierzyna ginęła w większej części już w klatce, zanim do miejsca przeznaczenia dostawioną zostanie, przyczyniły się do tego, że tych prób coraz było więcej i że budzą one coraz więcej zainteresowania ze strony ogółu, przyglądającego się z ciekawością kosztownym często eksperymentom zamożniejszych jednostek.

Chociaż zatem w naszych stosunkach jeszcze nie

można mówić o nadmiarze którejkolwiek zwierzyny pożytecznej i o braku jej rozmaitości, nie bez interesu będzie przejść wszystkie te gatunki zwierzyny, które gdzieindziej, a w części i u nas, starają się myśliwi zaaklimatyzować. Do pracy tej skłania nas to przypuszczenie, że czytelnicy „*Łowca*“ za zbyteczną uważać jej nie będą i z zajęciem ją przeczytają.

I. Daniel (*cervus dama),* zasługuje na pierwsze miejsce w szeregu aklimatyzowanej zwierzyny łownej, choćby ze względu na najbliższy stopień pokrewieństwa z olbrzymim megacerosem przedhistorycznym. Ten sam kształt głowy, stosunkowo do budowy całego ciała i do rozłożystych szufli, niedużej, cechuje daniela i jelenia jaskiniowego, którego szkielety są ozdobą wielu muzeów, a w szczególności muzeum historyi naturalnej we Wiedniu. Doskonale zachowany cały szkielet tego olbrzyma, który nosi na głowie rogi rozpiętości przeszło trzech metrów, budzi podziwienie dla tej ciekawej fauny przedhistorycznej, napełniającej ówczesny świat potworami bez liku. *)

Daniel odbiegł daleko wielkością od swego prototypu. Jest on mniejszym od jelenia a większym od sarny. Wysokość wyrośniętego samca wynosi od racic przednich począwszy do kłęba 80 m., długość 1 m. 60 cm. Budowa daniela różni się znacznie od budowy jelenia i sarny. Korpus jest stosunkowo za silny do długości nóg — pod tym względem stoi daniel najbliżej rena. Charakterystyczną cechą daniela jest to, że nie ma on jednej i tej samej maści, która inne gatunki zwierzyny cechuje, lecz że w tym samym rodzie, w tym samym stadzie, mają daniele sierść rozmaitej barwy. Nie dość na tem, ale u żadnej zwierzyny nie zmienia się maść w rozmaitych porach roku i w rozmaitych stadyach wieku tak często i tak uderzająco, jak u daniela. W lecie zwykle starsze egzemplarze, bez względu na to, czy to szuflak czy łania, są maści przeważnie płowobrunatnej, przechodzącej w rdzawą. Tego koloru jest on na całym grzbiecie, bokach i na zewnętrznej stronie badyli. Na bokach, łopatkach i udach pokrywają daniela białe centki, to większe, to mniejsze, okrągłe lub podłużne. Przez grzbiet biegnie czarny, a przynajmniej bardzo ciemny pas, wzdłuż którego biegnie już regularniejszy szereg białych plam, ciągnący się od szyi aż do osady ogona. Centki boczne, im niżej są położone, tem są nieregularniejsze, w końcu zbiegają się w jedną białą dużą plamę, która obejmuje całą pierś i brzuch. Podbródek, gardło, część przednia szyi i wewnętrzna strona badyli jest również biała. Na badylach, zaraz nad raciczkami, przechodzi biały włos ze strony wewnętrznej na zewnętrzną, tak że nogi na dole są całe białe. Głowa, czoło są koloru grzbietu, na około ócz znajduje się pierścień ciemniejszy tego samego koloru, łyżki są z wierzchu koloru grzbietu, z środku białe. Tył jest biały i tworzy lustro podobnie jak u sarn. Bukiet (ogon) jest charakterystycznego kształtu, podobny jest bowiem do ogona koziego, a znacznie dłuższy od jeleniego. Ten ogon irytuje jelenie w Laubego „Jagdbrevier“, tak, że pytają one pierwsze danielęta, które za bastardy jelenia i kozy uważają:

Ihr habt von Ziegen Schwanz und Haar,
Von *unanständiger* Länge
Ihr galoppirt wie ein steifer Gaul,
Wer seyd ihr, wir fragen strenge?

*) W muzeum Dzieduszyckich jest kilka okazów kości jelenia przedhistorycznego.

Bukiet ten jest na zewnętrznej stronie czarny, na wewnętrznej biały — koniec zwykle tego koloru, jaki przeważa właśnie na tem zwierzęciu. W zimie maść daniela robi się zwykle jaśniejszą z wierzchu — biała maść podbrzusza i wewnętrznej strony badyli brudniejszą. Białe centki znikają prawie i tylko zachowują się wyraźnie na udach.

Młodsze zwierzęta mają maść jaśniejszą. Pas przez grzbiet, ciemny u starszych zwierząt, nie występuje tu tak ostro — za to owe dwa szeregi plam wzdłuż grzbietu rysują się znacznie wyraźniej. Owe białe powierzchnie podbrzusza i podpiersia rozszerzają się tu znaczniej, tak, że młode daniele robią wrażenie jaśniejszych. Tak samo jednak, jak u starych owe białe powierzchnie są ostro odgraniczone ciemniejszym rąbkiem. Są jednak daniele bardzo ciemne, prawie czarne i daniele całkiem białe. Są daniele, które mają oprócz plam białych na ciemnem tle, ciemne plamy na częściach jaśniejszym włosem porosłych. Cielęta czarnych danieli nie mają żadnych plam. Pomimo tak rozmaitego ubarwienia nie można mówić o kilku gatunkach danieli, jak o tem pierwotnie mówiono — jest to ten sam gatunek, nawet ta sama *varietas,* a nieregularne ubarwienie jest niezupełnym albinizmem, względnie melanizmem. Białe i czarne daniele nie zmieniają maści w zimie, dostają tylko dłuższy włos. Peryod lenienia się przypada na ten sam czas, jak u innej zwierzyny, a mianowicie u jelenia. Jak już wyżej wspomnieliśmy, korpus daniela jest silniejszy niż u jelenia i sarny, szyja i badyle krótkie i nie takie mocne, jak u tamtych dwóch gatunków zwierząt, łyżki mniejsze, ogon dłuższy. Szybkość ruchów, siła i zręczność niewiele na tej zmianie proporcyi ciała traci, ale ruchy daniela są podczas biegu, jednakże nie podczas pełnego biegu, podobne do ruchów kozy. W biegu trzyma daniel ogon uniesiony w górę.

Podobnie jak u sarny i jelenia tylko samiec nosi rogi. Na wiosnę zrzuca daniel, silniejszy wcześniej, słabszy później, rogi, które mu w podobny sposób i w tak samo długim czasie odrastają, jak u jelenia. We wrześniu ma więc daniel na nowo odrośnięte i wyczyszczone szufle. Przy końcu roku, w którym się ciele urodziło, zaczynają się u samczyka rozwijać róże. Dzieje się to jednak powoli — dopiero na drugi rok w maju wydostają się rożki, które w miarę siły i indywidualnej dyspozycyi zwierzęcia, dosięgają od 3 do 25 cm. Rożki te są już od dołu, szczególniej ze strony wewnętrznej, silnie uperlone. Drugi stopień rogów ma rozmaite kształty. Zdegenerowany daniel, który w pierwszym roku miał rożki na 3 do 10 cm. wysokie, ma teraz dwa razy dłuższe szpice, co u zdrowego zwierzęcia jest rzadkością. Jeszcze rzadszym jest przypadek rozgałęzienia się rogów, a mianowicie wypadek wyrastania z gładkiego, trochę pogiętego pnia, pewnego rodzaju krzywej odnogi ocznej. Jako normalne uważać należy rodzaj rogów takich, jakie ma szóstak jeleń, z odnogą oczną i środkową, z tą jednak różnicą, że u daniela szczyt rogów tych już się trochę rozpłaszcza, albo co najmniej grubieje. Zdarza się, choć bardzo rzadko, że śpiczak nie zrzuca całych rogów, tylko górną ich część nad częścią uperloną i na dawnej podstawie i pniu tworzy nowe rogi. W trzecim i czwartym stopniu rozwoju rogi stają się u góry coraz szersze, mają coraz więcej wyrostków — przy piątej zmianie jest już rogal normalnym szuflakiem. Szufla jest początkowo wysoko osadzona, im głębiej ona ku środkowej odnodze schodzi i im ostrzej jej część prze-

dnia ku środkowi się zwraca, tem starszą jest sztuka szufle te nosząca. U bardzo silnych szuflaków dzielą się niekiedy szufle na dwie części. Zrzuca szufle daniel w kwietniu, maju a nawet czerwcu, z nowemi, wytartemi, daniel chodzi już w sierpniu lub wrześniu.

W początkach października rozpoczyna się ruja, która trwa około pięć tygodni. Wtedy wydaje on niemiły zapach, który zmniejsza się w miarę posuwania się czasu rui i w końcu niknie zupełnie. Rogal odstanawia kilka łań, które gromadzi koło siebie i przez kilka dni koło siebie trzyma. Dwa silne daniele, jeżeli się w tym czasie spotkają, staczają walkę i to nieraz gwałtowną, ale rzadko tylko dla którego z przeciwników prawdziwie groźną. Daniele ryczą podczas rui, ale wydają krótszy i mniej głęboki ton niż jelenie. Ponieważ czas rui trwa dla każdego indywiduum z rodu danieli króciej niż u jeleni, nie wycieńczają się one tak, jak jelenie. Po ośmiu dniach ustępują starsze daniele miejsca młodszym. Łania nosi płód ośm miesięcy i wydaje na świat jedno, a rzadko dwa młode. Są one tak samo niedołężne, jak cielęta jelenie i sarnięta w tym wieku, to też matka opiekuje się niemi z nadzwyczajną troskliwością, póki do sił nie przyjdą. Młode ssą aż do czasu, kiedy matka na nowo zapłodnioną zostanie. Jeżeli pożywienie mają daniele obfite, grzeje się łanka w drugim roku, przy gorszem pożywieniu w trzecim.

Daniel nie potrzebuje takich i tak rozległych lasów, jak jeleń, żeby mógł prosperować. Nawet nie wymaga on tych warunków, jakie niekiedy muszą być zachowane, żeby utrzymać dobry stan sarn. Jeżeli się mu zaś stworzy bardzo dobre warunki, w takim razie mnoży się szybko i nie wychodzi do sąsiednich rewirów. Lubi on wędrować, szczególniej jeżeli sąsiednie łąki i pola nęcą go jakąś wyborową karmą, ale wędrówki te nie są większe, niż wędrówki sarn i jelenia. Skargi, jakoby daniele większe szkody robiły w drzewostanach, niż inne gatunki jeleniowatych, są niesłuszne, tem bardziej, że można im zapobiedz, jeżeli nie całkiem, to przynajmniej ograniczyć je do najmniejszej miary. Zwierzyna ogryza pęki na wiosnę, kiedy jej potrzeba adstringencyów — jeżeli zatem poda się jej odpowiednie surogaty, w postaci należycie urządzonych lizawek solno-wapiennych, to nie będzie ona całkiem uszkadzała drzewek, albo przynajmniej w niewielkim stopniu. (C d. n.).

JESIEŃ.

(Sonet).

Już zwiędło kwiecie. — Ziemię całun pokrył szary,
I niebo zasępiły ciemne chmur opony.
Śpiewacy pól umilkli, kraczą tylko wrony,
A w mgle ku niebu sterczą nagie drzew konary.

Do mieszkań ludzkich wnika z jękiem wiatr przez szpary,
Tumany liści pędząc od północnej strony;
W wieczornym mroku lśni się cmentarz oświetlony,
A pieśń o duszach zmarłych nuci żebrak stary.

Ta czarodziejka w wiośnie, letnia ta matrona,
Powabna, okazała jakżeż to zmieniona!
Zrzuciwszy stroje wdziała szaty pokutnicze,

Jej pełne życia niegdyś, martwe dziś oblicze,
Staruszkę przypomina, która śni w żałobie
O świetnych dniach młodości, to o bliskim grobie.

Jan Kornicki.

O KŁUSOWNIKACH.

Najdrapieżniejsza to zwierzyna, nad której wytępieniem każdy myśliwy pracuje, przyczem nie ma sporu, jak n. p. co do lisa, czy oszczędzać, czy ją też bez litości tępić należy. Rozprzestrzeniona jest ona po całej kuli ziemskiej — w niektórych jednak miejscach, gdzie n. p. pojęcia o własności są dosyć luźne i wskutek tego sprawiedliwość silniej węzeł chusty, oczy jej zasłaniającej, przyciąga, występuje silniej i bardzo zuchwale. Dzieli się na grubą i na drobną zwierzynę. Gruba tępi pożyteczną zwierzynę prochem i ołowiem, drobna drutem i siłką. Tamtej nie może myśliwy odmówić pewnego rodzaju sympatyi, bo nie może nie uszanować owej pasyjki, która jego samego ożywia — dla tej nie ma dosyć słów pogardy i nienawidzi ją z całej duszy. Oczywiście im wyżej w jakiemś kraju stoi łowiectwo, tem wyżej także stoi kłusownictwo. W krajach o wysokiej kulturze łowieckiej, kłusownik jest tak samo wykształconym praktycznie znawcą natury i sposobu życia zwierzyny, na którą poluje ukradkiem, jak ów strażnik łowiecki, który jej pilnuje. Kłusownik z zawodu zna doskonale nawyczki zwierzyny i zmiany, jakie pogoda lub niepogoda wywiera na te przywyknienia. W Czechach, w Niemczech, w Alpach jest kłusownik doskonałym myśliwym, o ile nazwa ta może być daną człowiekowi, który nie hołduje zasadom honoru myśliwskiego, polegającego na oszczędzaniu zwierzyny wtedy, gdy ona oddaje się dziełu rozmnażania swego rodzaju. A Anglii, gdzie kary za kłusownictwo są bardzo wysokie, mało jest kłusowników, polujących bronią palną, bo ta za wiele hałasu robi — za to kłusownik angielski zna tyle sposobów łowienia zwierzyny, że jeżeliby kiedy przyszło zakładać akademię kłusownictwa, należałoby o ciało profesorskie w Anglii się postarać.

Podamy tutaj sposoby kradzenia zwierzyny, używane przez angielskich kłusowników, sądząc, że się ten opis do rąk naszych kłusowników, którzy mogliby odnieść z niego pożytek, nie dostanie, a nasi czytelnicy z chęcią go przeczytają.

Angielski kłusownik spuszcza się tylko na swoje siły i na swojego psa. Pies ten, zwykle mieszaniec charta i psa owczarskiego, nazywa się „lurcher“ (od „lurch“, czatować). Oprócz rączości pierwszego i wiatru jakoteż inteligencyi drugiego, posiada lurcher jeszcze więcej wytrwałości niż chart, nie szczeka nigdy goniąc i zwykle nawet umie aportować. Podczas zimnych dni przenosi kłusownik angielski psa, pochodzącego od tropowca, bo ma on silniejsze nogi, niż pies od charta pochodzący. Terriery, które łatwo naszczekują, nie są dogodne dla kłusownika. Wytresowanie psów kłusowniczych jest bardzo staranne, bo od niego zależy skutek łowów kłusownika a często także jego bezpieczeństwo.

Zdarzył się raz na przykład następujący wypadek. Kłusownik rozstawił sieci na zające na miedzy dzielącej dwa pola. Rozstawiwszy, poleca swojemu psu skinieniem, aby pole przeszukał — pies jednak nie słucha go, lecz warcząc przypada mu do nóg. Kłusownik zaczyna coś podejrzywać, ogląda się i spostrzega postacie dwóch strażników, którzy za żywym płotem z drugiej strony gościńca skradali się ku niemu. Skoro zobaczyli, że ich kłusownik widzi, skoczyli przez płot i puścili się w pogoń za nim, ale ten przestrzeżony na czas, wziął nogi za pas i tak żywo zmykał, iż umknął, zostawiając tylko swoje narzędzia w rękach strażników. Ze względu na cel, do jakiego taki pies jest używanym, patrzy się na niego najczęściej z wyrzutem, a przecież jest to bardzo często prześliczne zwierze a inteligencyą i zdolnościami nie daje się żadnej innej rasie wyprzedzić.

Pierwszą czynnością kłusownika jest zapoznać się dokładnie z terenem, na którym operować zamierza. Zwyczajnie czyni to za pomocą tajemnego wspólnika, który nigdy razem z kłusownikami nie daje się widzieć, ale który spacerując po polach niby od niechcenia, często z książką w ręku, notuje, gdzie słyszał zapadające na noc kuropatwy, gdzie widział wychodzące na żer zające, rysuje sobie kształt parceli, celem wyznaczenia miejsca na sieci, i — co jest rzeczą bardzo ważną — wywiaduje się dokładnie o tem, kiedy i jakiemi drogami strażnicy rewir obchodzą. Sposobów do odciągnięcia strażnika od tego miejsca, w którem byłby kłusownikom niewygodnym, mają oni dosyć. Bardzo często używanym jest ten, że jeden z kłusowników strzela kilka razy w drugiej stronie rewiru, wskutek czego strażnicy udają się tam i zostawiają wolne pole kłusownikom w części rewiru przez nich na ten dzień obranej. Zabierają się oni zaraz do roboty i są gotowi pierwej, zanim strażnicy się spostrzegą, że padli ofiarą fortelu. Inny fortel polega na tem, że zająca złapanego na kluczkę zostawiają na widocznem miejscu — wtedy strażnik spostrzegłszy go, nie odstępuje już tego miejsca, lecz czatuje na kłusownika, aż przyjdzie wyjąć swoją zdobycz. Tymczasem jednak kłusownik operuje zupełnie w innej stronie. Ale i strażnicy mają także swoje fortele. Najzwyczajniejszym jest ten, że wsadzają do kluczki, nastawionej przez kłusownika królika i czekają, aż on nadejdzie, aby go na gorącym uczynku złapać. Polowanie na zające jest dla kłusownika najkorzystniejsze. Postępuje on sobie tu w następujący sposób:

Pola w Anglii są przeważnie otoczone ogrodzeniem z łat, przybitych do metrowych słupków. Gdy już zboża zostały zebrane, przewiesza kłusownik przez łaty sieci, tak, żeby dolna ich część spadała wolno na ziemię. Dwa lekkie kamienie przytrzymują sieć na łacie górnej. Pies przeszukuje pole i napędza zająca do sieci. Zając uderza w sieć głową i gdy się z niej wydobyć stara, strąca owe kamyki i cała sieć opada na niego, nie dając się mu wyplątać. Za chwilę uduszony idzie do worka, sieć nastawia kłusownik na nowo i dalsze polowanie odbywa się tak długo, póki wszystkie zające z tego kawałka pola się nie wyłapią. Zdarzało się, że w ten sposób dwóch ludzi z pomocą dwóch psów złapało tuzin zajęcy jednego wieczora. Sieci w kształcie worka i kluczki są także w używaniu. Wstawiają je oni w otwory żywopłotów, przez które zające zwykle przechodzą. Łapanie w worki jest bardzo skuteczne — i dziesiątkuje rewir. Kłusownik jest tu niezależny od żadnego

wspólnika — nawet psa nie potrzebuje. Zastawia sieci w otworach żywopłotów, a potem sam chodząc po polu, wypędza zające, które idąc swojemi zwyczajnemi ścieżkami, łapią się w sieci. Sieci takich używa kłusownik przy polowaniu na króliki z łasiczką. Ponieważ króliki złapawszy się w sieć, nie kniazią, co znowu zające z reguły robią, polowanie takie cicho się odbywa a jest bardzo skutecznem. Bardzo niebezpieczną klasą włóczęgów, którzy zwykle nie budzą podejrzenia o kłusownictwo, są handlarze, krążący po domach, którzy jednak w kieszeni mają łasiczkę i sieć. Ich powodzenie zależy często od ich śmiałości. Przychodzą oni najczęściej do domu strażnika i jeżeli go zastali, proszą go o pozwolenie wejścia do lasu dla zbierania liści, którymi chcą sobie kosze, na sprzedaż noszone wyłożyć. Jeżeli pozwolenie to otrzymają, jest dalszy proces bardzo prosty. Jeżeli strażnika nie zastał w domu taki włóczęga, sprawa staje się jeszcze więcej ułatwioną.

Łowienie królików uskutecznia się zapomocą sieci długiej na 70 do 120 yardów, a na 2 stopy wysokiej. Kłusownicy wybierają sobie miejsce, na którem króliki gromadnie żerują — następnie w noc ciepłą, suchą a ciemną, podczas której króliki daleko poza swoje nory wychodzą, zabiegają im pocichutku, najczęściej boso, drogę od lasu i zastawiają na całej długości granicy lasu sieci, przytwierdzając je lekko palikami. Potem jeden z kłusowników zachodzi z daleka wielkim łukiem i spędza króliki ku lasowi. Króliki uciekając ku norom wpadają do sieci i łapią się w nie. Niekiedy łapią kłusownicy w ten sposób 200 do 300 królików naraz. Zeszłej jesieni złapali kłusownicy na pewnej posiadłości wiejskiej w Szkocyi 140 par królików — i mieli tę śmiałość, że w tym samym tygodniu złapali jeszcze w sąsiednim rewirze blisko sto par królików.

Łapanie bażantów jest także bardzo dla kłusownika korzystne. Łatwym, cichym a skutecznym sposobem jest trzymanie pod drzewem, na którym bażant siedzi, palącej się siarki. Swąd siarki oszołamia ptaka, który spada na ziemię bez czucia.

Kuropatwy łapie kłusownik w sieci długie na 45 yardów a szerokie na 14 stóp. Przez oka górne tej sieci biegnie linka — na dolnej części sieci przymocowane są ciężarki ołowiane. Sieć jest zwykle zrobiona z jedwabiu, wskutek czego nie robi wiele hałasu, gdy ją się ciągnie po ziemi, a oprócz tego ma tę dogodność, że zwinięta bardzo mało miejsca zajmuje. Gdy kłusownicy zbadają dokładnie, gdzie kuropatwy na noc zostały, ciągnie ich dwóch sieć pochyloną po ziemi. Gdy sieć dojdzie do miejsca, w którem siedzą kuropatwy, podrywają się one przestraszone i trącają w pochyloną sieć, którą wtedy kłusownicy spuszczają natychmiast na ziemię, łowiąc w ten sposób całe stadko odrazu.

Metoda łapania dzikich kaczek jest bardzo prosta. Zwykły haczyk od wędki, na którym zakłada się jako przynętę kawałek cebuli, przywiązuje się za pomocą struny do małego palika, nad brzegiem wody umieszczonego.

To są najwięcej rozpowszechnione metody angielskiego kłusownika, służące do łapania zwierzyny. Używa on naturalnie także strzelby, ale tylko wtedy, gdy może jej bez niebezpieczeństwa użyć. Kłusownictwo stało się obecnie w Anglii niejako gałęzią nauki i dobry kłusownik jest zwykle specyalistą. Jeżeli jego specyalnością są zające, to nie zaniedbuje on badać zawartości ich żołądków, ażeby dojść, czem się właśnie wtedy zające najchętniej żywią. Co wieczór, bez przerwy, czatuje on na nie, aby zbadać dokładnie ich weksle. Zna on w ten sposób dokładnie wysokość, na której ma zakładać kluczki i wie, że zające w czasie niepogody wyżej skaczą niż w czasie pogody. Wie on również dobrze, gdzie szukać zająca w mroźnym dniu, a czego on z ich nawyknień nie zna, to nie jest już zupełnie ciekawe i warte badania. Ten typ kłusownika pracuje przeważnie tylko z pomocą psa, opisanego na wstępie tego artykułu, bo nie chce się spuszczać na innych wspólników. Taki wspólnik nie jest nigdy tak mądrym i ostrożnym, żeby się po pijanemu nie wygadał, co powoduje zaraz zaaresztowanie jego i jego współpracownika.

Największą trudność dla kłusownika stanowi sprzedaż zwierzyny. Co do tego ten kłusownik, który operuje w nadbrzeżnych posiadłościach jest w lepszem położeniu, niż kłusownik z głębi kraju. Jedzie on łodzią tak długo wzdłuż brzegów, aż się znajdzie sposobne miejsce do bezpiecznego złożenia zwierzyny.

Właściciele rewirów, którym zależało na tem, żeby zwierzostany swoje o ile możności od klęski kłusownictwa uchronić, poczynili próby z psami zwanymi „blood hounds“. Próby te poczyniono najprzód na bagnach w Yorkshire, w obecności wielu myśliwych. Psy te wynajdują wiatrem kłusownika, dopędzają go i tak długo szczekają, aż im pomoc nadejdzie, nie rzucają się zaś na kłusownika nigdy. Na ożywionyeh ulicach miasta gubi taki pies zwykle trop przestępcy, ale na wsi znajduje on bez trudności uciekającego kłusownika. Gdyby policyi w niektórych okolicach w Anglii wolno było trzymać takie psy, ustałoby zdaniem tamtejszych kół myśliwskich kłusownictwo w tych okolicach — sam fakt, że pies taki jest do dyspozycyi straży, powstrzymywałby kłusowników od ich wypraw na cudze mienie.

Z powieści Aleksandra Fredry ojca

„JEREMIASZ SĘP“.

W pośmiertnych pismach ojca polskiej komedyi, który był równie dobrym pisarzem, jak dzielnym ułanem i myśliwym, pomieszczono powieść białym wierszem napisaną p. t. „Jeremiasz Sęp“.

„W pierwszej części tej powieści, mówi sam Fredro w przedmowie do niej, starałem się zachować pamięć dawnego w Polsce myśliwstwa, które pod kierunkiem niemieckim nikło powoli i teraz całkiem już znikło. — Znałem w dzieciństwie ostatniego wielkiego myśliwego w Galicyi, Leona Horodyskiego z Bielinki, pod Samborem. — Z jego ust słyszałem jego przygodę z niedźwiedziem, którą opisałem w trzecim obrazie pierwszej części tej powieści. — Później w mniejszych rozmiarach, ale jeszcze znaczne utrzymywali myśliwstwa Ksawery Krasicki w Lisku, i w Dubanowicach Kazimierz Jabłonowski, brat mojej żony“.

Ta część powieści należy niewątpliwie do literatury łowieckiej, podajemy ją więc w całości:

Posępny dworzec w Łowczycach...
Mury czarne, w oknach kraty,
Dach zaklęsły, porósł mchem.
Gmaszysko patrzy z pod świerków
W mętne wody Wereszczycy
I w rozległy błotny step,
Co za Dniestrem w mglistej dali
U karpackich niknie gór.
Po obu stronach dziedzińca
Stajnie, psiarnie tak obszerne,
Że im równych nie ma kraj.
Po ścianach wszędzie rozbite
Łbów niedźwiedzich białe czaszki
I odyńców krzywe kły.
I kolczaste rysiów szczęki
I jelenich rogów las.
Na płotach gniją rozpięte
Orły, kanie i jastrzębie
I krogulców cały rząd.
A dalej w polu na wierzbach
Wilcze ścierwa i szkielety
Stado kruków wiecznie drze.
Wszystko wszędzie smutno, groźnie,
Dwór Łowczycki inny świat.
Tam mieszkał herbu Junosza
Sęp Jeremiasz, Cześnik Łucki,
Licznych włości srogi pan,
Drapieżnym Sępem przezwany,
Bo u niego zawsze w ręku
Albo strzelba, albo kord;
Lecz myśliwiec niezrównany,
Był łowiectwa jakby król.
W obozach z dziecka chowany
Na tatarskich łbach się uczył,
Innych nigdy nie znał ksiąg.
Odwagi, siły nadludzkiej,
Bez litości, bez hamulca,
Na pohańców boży bicz;
Był i plagą żony, córki,
Swych sąsiadów, swoich sług.
Małżonki Bóg się zlitował
I powołał ją do siebie;
Cześnik z córką został sam.
To jednak sercem nie wstrząsło
W skamieniałem jego łonie,
Nie zmieniło z biegiem lat;
Coraz dzikszy, coraz srozszy,
Jak przekleństwo rosnął w złe.
W Łowczyckim dworze ruch wielki,
Na dziedzińcu łoskot, wrzawa.
Dalej! Dalej!... zewsząd grzmi.
Drapieżny*) jedzie w Karpaty
I myśliwstwo rusza z miejsca;
Dalej!... Dalej!... zewsząd grzmi.
Brama skrzypła, roztworzyła
I kamienny zadrżał próg.
Jak strumień deszczem wezbrany,
Kiedy z górzysk w doły spada,
Coraz dłuższą smugę rwie;
Tak tabor z bramy wyparty
Różnobarwny, hałaśliwy
Coraz dłuższą wstęgę snuł.
Wozy, konie, psy myśliwi
Taki zwolna brali szyk.
Na sam przód jedzie czterech kozaków
Jako poczet przewodniczy;
Pyta o drogę, mosty ogląda,
Do naprawy ludzi zgania,
Potem wieczorem miejsce wytycza,
Gdzie się tabor ma rozłożyć.
Dalej objezdnik, stary Matjaszek,
Za nim ośmiu strzelców konnych,
Kurta zielona, czapka barania,
Przez kulbakę kożuch zgięty,
Torba borsucza, trąbka rogowa
I kordelas przy nich z boku,
Strzelba w wytoku, a harap w ręku,
To rynsztunek strzelców konnych.
Dalej sokolnik, magnat łowiectwa;
Z łosiej skóry sajan na nim,
Złota piszczałka, srebrna torebka,
Rękawice aż na łokcie.
Przed nim na kucach czterech chłopaków
Trzyma berła, a na berłach
Smukłe sokoły, w czarnych kapturach
Nieruchome i milczące.
Dalej na czele koni podwodnych
Pan koniuszy. Pan Marszałek

*) „Drapieżny“ przydomek Jeremiasza „Sępa“.

I dworska służba w barwie herbowej.
A herbowa barwa taka:
Żupan czerwony, biały kontusik,
Pas zielony, czapka takaż;
Bo herb Junosza — w polu czerwonem
Na murawie baran biały.
Dalej nadciąga wozów dwanaście,
Na tych sieci różnej miary.
Lekkie trokówki, ciężkie parkany,
Ptasie siatki i rozjady.
Przy każdym wozie po jednym strzelców
I po jednym oszczepniku,
W krótkich siermięgach, w płytkich chodakach,
Robią tylko pieszą służbę.
I znowu idzie wozów dwanaście
Pod spiżarnią, pod piwnicą,
Pod stosem rondli, kotłów, baniaków,
Psiej i pańskiej kuchni razem.
Teraz dopiero serce taboru,
Pośród pisarzy, dojeżdżaczy,
Mrowie okiem niezliczone
Hałaśliwo idzie psiarnia.

(C. d. n.).

NIEDŹWIEDNIK.

Z łaciny łowieckiej amerykańskiej — przez Wiktora Cossmanna.

Reklama, jak wiadomo, urodziła się w Ameryce. We wszystkich szybko rozkwitających się miastach olbrzymiej republiki święci ona swoje tryumfy, największe atoli w stolicy humbugu, to jest w San Francisco.

Ale i tutaj zaimponowało wszystkim czytelnikom dzienników tłustemi czcionkami wydrukowane ogłoszenie: „F. Trick poleca się Szanownej publiczności jako tępiciel „szarych niedzwiedzi i podejmuje się uwolnić każdą okoli„cę od tych potworów, za honoraryum, wynoszące po „25 dolarów za każdą łapę zabitego niedźwiedzia i za zwrot „kosztów podróży.

Śmiałość podobnego przedsięwzięcia umieli ocenić wszyscy strzelcy, farmerzy i poszukiwacze złota, którzy dzikość i siłę szarego niedźwiedzia z własnego doświadczenia znali — ogłoszenie wzbudziło więc u nich podziwienie, ale także i zupełnie usprawiedliwione powątpiewanie.

Szary niedźwiedź, „grizzly“, jest tak straszliwem zwierzęciem — może najstraszliwszem ze wszystkich drapieżców — że najśmielsze szczepy indyjskie i najdzielniejsi traperzy obchodzą to miejsce, w którem on przebywa, naokoło, choćby to i trzy godziny drogi kosztowało, aby tylko się z nim nie spotkać. Jeżeli dwa niedźwiedzie bawią w jakiej okolicy, wystarcza to na to, żeby się z niej ludzie wynieśli.

Uderzeniem potężnej łapy niedźwiedź amerykański rozdziera najsilniejszego mężczyznę, zabija najtęższego konia lub wołu. Jego pragnienie krwi jest nigdy nienasyconem. Biega on tak wytrwale, że dopędza w końcu bawołu, a nawet najszybszego konia. Na kule, które nie naruszą jego najszlachetniejszych części, wydaje się zupełnie nieczułym. Ale i dobry strzał nie zabija go na miejscu, zostaje mu zawsze dosyć czasu, żeby zuchwałego strzelca rozszarpać. Tylko jeden błąd, a właściwie jedną zaletę posiada on — mianowicie nie umie wspinać się po drzewach. Tej okoliczności zawdzięcza niejeden z myśliwych ocalenie życia.

25 dolarów za łapę takiego potwora wydawało się ceną śmiesznie niską.

Po upływie czternastu dni inserat przyniósł rezultat. O dwa dni drogi od San Francisco znajdował się gęsto zamieszkany dystrykt kopalniany. Tutaj znajdowała się wioska indyjska i do tej wioski wtargnęły trzy szare niedźwiedzie. Indyanie przyjęli je odważnie, zranili je kilkakrotnie, niedźwiedzie jednak zostały panami placu, zabiwszy sześciu ludzi. Cała ludność, mężczyźni, kobiety i dzieci, schroniła się do najbliższego obozu poszukiwaczy złota, goniona przez dwa niedźwiedzie, podczas gdy trzeci został przy zdobytych zapasach.

Poszukiwacze złota, zaalarmowani przez czerwonoskórych, mieli zaledwie czas pochwycić za karabiny, gdy wtem wpadły do obozu dwa niedźwiedzie, pierwszych dwóch napotkanych ludzi rozszarpały i pomimo oporu odważnych górników, pomimo znowu kilku otrzymanych ran, zmusiły ich podobnie jak i Indyan przedtem do ucieczki.

Niedźwiedzie zostały panami całej okolicy, która zamieniła się w pustynię.

Daleko, wśród lasu, zebrali się biali i indyanie na naradę, co dalej czynić wypada, gdy w tem zabrał głos górnik, prosto z San Francisko przybywający i zawiadomił ich o ogłoszeniu Mr. Tricka. Wobec tego uchwalono wysłać deputacyę do tego sławnego męża, aby go zaprosić na to niebezpieczne polowanie. Koszta honoraryum i koszta podróży złożyli do spółki górnicy i indyanie.

Dwóch czerwonoskórych i dwóch poszukiwaczy złota udało się natychmiast do San Francisco i wyszukali nie bez trudności mieszkanie wielkiego myśliwego. Na odrzwiach szopy, a właściwie na dwóch zaledwie ociosanych belkach, które ich miejsce zastępywały, znajdował się bijący w oczy plakat:

„F. Trick, tępiciel szarych niedzwiedzi.“

Ażeby wiadomość o niebezpiecznym zawodzie tego męża mogła dojść także nieumiejących czytać, był pod

szyldem nalepiony kiepski drzeworyt, pochodzący prawdopodobnie z ogłoszenia menażeryi wędrownej, który przedstawiał okropne jakieś zwierze z rozwartą paszczą, ulegające jakiemuś olbrzymiemu wężowi, który widocznie miał symbolicznie przedstawiać Mr. Tricka. Że zwierze więcej było podobne do tygrysa niż do niedźwiedzia, to nie psuło zupełnie efektu. Rysunek ten napełnił indyan trwogą i zdziwieniem nad potęgą Mr. Tricka — ale zdziwienie ich byłoby jeszcze większe, gdyby byli mogli przeczytać to, co było napisane pod tym rysunkiem. Napis ten opiewał: „Tutaj robi i naprawia się suknie według najświeższej mody“. Poszukiwacze złota mogli sobie ten zagadkowy napis tylko w ten sposób wytłómaczyć, że sądzili, iż tępiciel niedźwiedzi wszedł w spółkę z jakimś krawcem, aby zdobyte na niedźwiedziach futra lepiej zużytkować. Dom cały był zresztą bardzo dziwnej struktury. Kilka pali, wysokości 11 do 12 stóp, było wbitych w ziemię głęboko, dolna ich część była obita deszczkami. Tę część nazywał p. Trick swoją piwnicą. Na tej piwnicy spoczywała kabina wysłużonego okrętu, którą widocznie p. Trick nabył z jakiegoś rozbitego okrętu, nad całą budową, wznosił się śpiczasty dach z deszczek. Za pomocą drabiny umieszczonej między plakatami, można się było dostać na dach kabiny, a stąd przez otwór w podłodze wycięty i wąskie a strome schody można było zejść do wnętrza kabiny. Tą drogą musiała się deputacya udać, żeby znaleźć wielkiego strzelca. Pełni nabożnego uczucia uszanowania wdrapali się członkowie deputacyi, jeden po drugim po drabinie na strych kabiny a potem przez otwór do izby mieszkalnej i gdy się wszyscy w niej znaleźli, stanęli pełni zdziwienia na widok sławnego pogromcy niedźwiedzi. Przed nimi siedział bowiem na stole, na skrzyżowanych pod siebie nogach, człowiek, mający około lat czterdzieści, na którego opryszczonym nosie wisiała para dużych, okrągłych okularów, oprawionych w cynę i... naprawiał jakieś stare pantalony.

„Czego sobie panowie życzycie? zapytał krawiec, rzucając badawcze spojrzenie na deputacyę i kłapiąc raz po razu nożycami, zwróconemi ku wchodzącym.

„Szukamy tępiciela niedźwiedzi, odpowiedział po pewnej pauzie przewodniczący deputacyi, oglądając się naokoło.

„Bardzo dobrze“, odpowiedział mały człowieczek, „gdzież te niedźwiedzie się znajdują?“

„Proszę mi naprzód powiedzieć, gdzie jest niedźwiednik, odrzekł delegat, oglądając się starannie po izbie.

„Do dyabła!“ zawołał krawiec, zeskakując ze stołu i prostując swoją figurkę, nie wiele ponad cztery stopy sięgającą, „cóż to, czy ja nie jestem sam Mr. Trick, „który się podejmuje zabić każdego szarego niedźwiedzia? „Pytam się jeszcze raz, gdzie są niedźwiedzie, albo dajcie „mi spokój i idźcie sobie, gdzie was oczy poniosą!“

Tu chwycił znowu za nożyce i strzygł niemi zirytowany powietrze. Indyanie myśleli, że to podwójny nóż do skalpowania i przestraszeni cofnęli się po schodach na powałę kabiny. Poszukiwacze złota, którzy początkowo ze zdziwieniem na krawca patrzyli, wybuchnęli ogromnym śmiechem.

Malec stał przed nimi rozłoszczony i przeszywał przez swoje okulary wzrokiem śmiałków, poruszając ustawicznie straszliwemi nożycami.

„A więc to wy jesteście tym tępicielem niedźwiedzi, zapytał w końcu przewodnik, pohamowawszy z trudem śmiech, to rzeczywiście pyszny żart! Tak, tak, kochany panie, niedźwiedzie są rzeczywiście i zjadły już ośmiu takich chłopów, z którychby dwudziestu takich, jak pan, wykrajał.

„Ile tych niedźwiedzi jest“? pyta Mr. Trick, nie zważając na szyderstwo.

„Całe trzy sztuki są w naszym obozie, mój karzełku! odpowiedział górnik.

„Ślicznie, odpowiada Trick z zadowoleniem, „25 dolarów za jedną łapę, to znaczy razem 300 dolarów. Ślicznie! Macie przy sobie pieniądze na koszta podróży?“

„Mamy, ale powiedz nam, jak ty chcesz, taki malec, walczyć z trzema szarymi niedźwiedziami?“

„Znacie historyę Dawida i Goliata?“ pyta Trick poważnie.

„Oczywiście, że znamy, „odpowiada ze śmiechem „górnik“. Dawid zabił olbrzyma kamykiem, ale jeżeli my-„ślisz, że i „grizzly“ da się zabić kamykiem, to się grubo „mylisz. Gdyby zamiast Goliata przeciwnikiem Dawida był „grizzly, byłby Dawida schrupał z pewnością, choćby mu „kamienie młyńskie na łeb rzucał“.

„Co ja będę na niedźwiedzia rzucał, to was nic nie „obchodzi“, mruczał Trick. Ja zabiję niedźwiedzia, a wy „mi zapłacicie za to. Chcecie to dobrze — nie to oszczę-„dźcie mi swoich dowcipów, zachowajcie sobie swoje „niedźwiedzie i dajcie mi spokój“.

„Wszystko to dobrze i pięknie, mój odważny panie! „Po to tutaj przybyliśmy, żeby cię ugodzić do uwolnienia „nas od niedźwiedzi — boimy się tylko, że pierwszą po-„tem twoją robotą będzie łatanie własnej swojej skóry. „Kiedy chcesz rozpocząć polowanie?“

„Czy konie wasze umią także ciągnąć?“ pyta Trick, rzucając badawcze spojrzenie przez okno kabiny na wierzchowce delegatów, przywiązane przed jego rezydencyą.

„Używaliśmy tych koni dość często do ciągnienia“ potwierdzili górnicy, „ale nie mamy tu szlej“.

„Ja mam wszystko, nie traćmy więc czasu!“

Podał natychmiast górnikom parę szlej, widocznie przez samego siebie z pasów sporządzonych, dalej kawał płótna, następnie potrzeby do szycia, czajnik do herbaty, parasol, koc, a w końcu coś twardego, okrągłego w zielonym, wełnianym pokrowcu. Ale pomiędzy tem wszystkiem nie było ani jednego przedmiotu, któryby choć trochę jakąś broń przypominał — nawet ku wielkiemu zdziwieniu indyan zostawił Trick swoje nożyce w domu. Zszedłszy na dół, otworzył Trick tak nazwaną przez siebie piwnicę i z pomocą swoich gości wyciągnął silnie zbudowany wóz, na którym leżało kilkadziesiąt związanych ze sobą sztab żelaznych. Każda sztaba była gruba na cal i posiadała na końcu gwint do śrubowania. W osobnym worze były śruby i klucze do nich. Trick kazał następnie zaprządz konie do wozu, poczem z pomocą indyan przyniósł trzy ciężkie miechy, z których każdy był zaopatrzony kurkiem mosiężnym. Miechy te, widocznie jakimś płynem napełnione, umieścił z całą ostrożnością w skrzynce pełnej słomy. Jeszcze raz zniknął Mr. Trick w swojej piwnicy i wyniósł z niej flaszkę wódki i dwie szynki. Poczęstowawszy każdego z obecnych kieliszkiem wódki, przygotował sobie siedzenie na wozie, siadł, postawił sobie flaszkę w nogach i zawołał:

„Teraz możemy ruszać!“

Ze śmiechem i potrząsaniem głowami uczynili delegaci zadość temu życzeniu.

Ciekawy był to pochód. Na przodzie jechali górnicy, których konie były przyprzęgnięte do wozu — na wozie zaś siedział Mr. Trick pod rozpiętym parasolem — za wozem jechali dwaj Indyanie, którzy z całem nabożeństwem patrzyli na Mr. Tricka, bo go od chwili, gdy zdjął okulary i schował je do kieszeni, uważali za możnego jakiegoś czarownika.

Po drodze spotkali pędzone stado świń. Trick kupił tu prosie, obdarzone od natury nader mocnym głosem. „Muszę niedźwiedziom przynieść jakiś prezent“, tłumaczył Trick spokojnie.

Pierwszy nocleg przypadł w połowie drogi — na drugi dzień wieczorem stanęli w obozie połączonych górników i indyan.

Oczywista rzecz, że ich przybycie wywołało wielkie zdziwienie — oczekiwano jakiegoś olbrzyma, tymczasem z wozu wysiadła człowieczyna, którego każdy palcem mógł przewrócić.

Cały potok dobrych i złych dowcipów zlał się na głowy deputacyi i tępiciela niedźwiedzi, ale ten miał język nie od parady i płacił za każdy żart z taką prowizyą, że za chwilę miał śmiejących się po swojej stronie.

„Czas, to pieniądz“, rzekł Mr. Trick na drugi dzień rano i zabrał się natychmiast do roboty. Z największem zdziwieniem i zaciekawieniem przypatrywał się jego robocie cały obóz. Złożył on ze sztab żelaznych wielką klatkę w kształcie klatki używanej dla papug z wielkim żelaznym pierścieniem w środku, przymocowanym łańcuchami i zaopatrzonym siatką od dołu.

„Ha“, zawołał jeden z wodzów indyjskich nie ukrywając zdziwienia, „widać, że on chce złapać niedźwiedzie w tę klatkę, ale jak on to zrobi, żeby one w tę klatkę wlazły? To chyba będzie trudny orzech do zgryzienia“.

Trick zbadał dokładnie całą klatkę, opatrywał skrupulatnie wszystkie wiązania, nareszcie oświadczył, że jest zadowolony ze swojej roboty i zapowiedział na drugi dzień polowanie na niedźwiedzie.

„Jeżeli tylko jutro rano te szare bestye się zjawią, oświadczył z podziwienia godną zimną krwią i pewnością, „to koło południa będą już trupami.“

Chociaż nikt nie miał wiele zaufania do talentu łowieckiego Tricka, pomimo tego oczekiwali wszyscy z niecierpliwością następnego dnia. Łamano sobie głowę, jakiej broni Trick użyje.

W końcu zaświtał oczekiwany dzionek. Cały obóz był na nogach. Trick polecił włożyć ciężką klatkę na wóz, wsiadł w nią, zawiesił owe trzy ciężkie miechy na łańcuszkach, obracając je na dół kurkami, włożył w sieć swoją ulubioną flaszę z wódką, jak również kawałek chleba i szynki — indyanie myśleli, że to na przynętę dla niedźwiedzi — następnie długie trzaski smoliste, w końcu wyciągnął z futerału broń. Ogólne „Ach!“ powitało tę broń.

Była to zwykła wstrzykawka!

Nie wielu było takich między otaczającymi Tricka, którzy znali prawdziwe przeznaczenie tego rodzaju sikawki ale i oni nie umieli sobie wyobrazić, jak ją Trick niedźwiedziom zaplikuje. Tylko indyanie myśleli, że to jakieś małe działo nowej konstrukcyi.

Trick umieścił i ten tajemniczy przedmiot w siatce, włożył prosie w worek i kazał ruszać prosto w kierunku tego miejsca, gdzie grasowały szare niedźwiedzie, liżąc się z otrzymanych ran.

Kiedy tak po złych drogach leśnych przez trzy godziny jechali, trafili na wysłanych naprzód tropicieli, którzy oświadczyli, że znaleźli zupełnie świeży trop niedźwiedzi.

Cały orszak stanął zatem na polance otoczonej grupą drzew — klatkę zdjęto z wozu i postawiono na polance. Trick wlazł do klatki i zamknął starannie drzwi. Następnie poprosił jednego z jeźdźców, który na najlepszym koniu siedział, aby wziął prosię, podjechał pod miejsce pobytu niedźwiedzi i tam pokręcił je za ogonek. Jeżeli niedźwiedzie dadzą się zwabić kwikiem prosięcia, to ma uciekać w kierunku klatki i podać mu prosie przez jej szczeble. Górnik ufny w szybkość swego konia, a zarazem trawiony ciekawością, podjął się tego niebezpiecznego zadania, podczas gdy inni spektatorzy oddalili się z tego groźnego miejsca. Niektórzy z górników i indyan wydrapali się na drzewa i tam z przygotowanemi do strzału rajflami oczekiwali chwili, w której ich pomoc byłaby potrzebną.

Mr. Trick siedział tymczasem już całą godzinę w klatce, wypalił już drugie cygaro, pociągnął już niejeden łyk z flaszki, gdy wtem wpadł na polanę jeździec w pełnym galopie, zeskoczył z konia, podał prosie Trickowi, sam zaś w całym pędzie zniknął z oczu.

Trick chwycił prosię przez szczebel za jedną z tylnych nóg i szczypał je z całych sił. Wszyscy biali i indyanie na drzewach siedzący wydali okrzyk przestrachu — wszystkie trzy niedźwiedzie bowiem nadbiegały całym pędem.

Skoro je Trick spostrzegł, skoczył na swój pierścień, który był tak przymocowany, że siedzący w nim zatrzymywał zawsze jednę i tę samą pozycyę bez względu na to, czy klatka stała prosto lub też się pochylała. Wziął sikawkę do ręki, napełnił ją ostrożnie płynem z jednego ze skórzanych miechów i czekał ataku. Niedźwiedzie nie dały długo na siebie czekać. Jeden z nich skoczył łapczywie na kwiczące prosię, które połknął jak kluskę, drugi bił łapami w kratę, tak, że klatka cała trzęsła się i chwiała, trzeci gryzł z wściekłością szczeble klatki. Przeciwko wszystkim trzem bronił się Trick jednako. Niezmordowany, napełniał bez ustanku sikawkę i z największym spokojem oblewał jej zawartością srożące się bestye.. Widocznie nie podobało się im to, bo parskały, kichały, ryczały a potem z większą jeszcze wściekłością rzucały się na klatkę, jakby ją chciały w kawały rozedrzeć. Ale klatka była silna — Trick mógł z całym spokojem oddawać się swojemu zatrudnieniu. Jego niewielka figurka zaopatrzona długiemi ramionami i rękami, pozwalała mu łatwo zachowywać równowagę — a każdą chwilę, w której miał wolne ręce, wyzyskiwał na to, żeby oblewać promieniem sikawki zaciekłych swoich przeciwników.

Już łby i całe postacie niedźwiedzi ociekały płynem — stary indyanin, umieszczony na gałęzi, zaczął już zazdrościć mi, bo myślał, że miechy zawierają „ognistą wodę“, od której oparów mają niedźwiedzie popaść w sen. Kiedy już ostatni miech był wypróżniony, położył Trick sikawkę w siatkę, wyjął z kieszeni pudełko zapałek, zapalił jednę ze smolnych szczyp i — „hipp, hipp, hurra! niech żyje Mr. Trick“ zagrzmiał okrzyk z drzew, bo oto wszystkie trzy niedźwiedzie gorzały jak pochodnie.

Miechy zawierały nie wodę ognistą, lecz naftę.

Nadarmo przewracały się niedźwiedzie po ziemi, rycząc w niebogłosy — chwilowo stłumiony ogień odnawiał się za przystępem powietrza i jeżeli nie jedna, to druga część ciała paliła się.

Niedźwiedzie oszalałe z bolu straciły w końcu siły i popadały na pół upieczone na ziemię. Teraz już nie mogli indyanie powstrzymać swojej ochoty myśliwskiej, zeskoczyli z drzew i choć nie bez trudu — tomahawkami i nożami położyli koniec męczarni tych strasznych zwierząt.

Daleko rozlegał się radośny okrzyk górników i indyan. Trick, wyśliznął się już dawno z klatki i podnosząc wstrzykawkę w górę, wykonywał zabawny taniec wojenny na około cielsk swoich przeciwników.

Teraz dopiero zaczęli napływać ze wszystkich stron górnicy i indyanie i zajęli na nowo opuszczone siedziby. Mr. Trick, bohater dnia, zaniesiony został na rękach do obozu górników. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień.

Ponieważ w okolicy nie było już więcej niedźwiedzi, obstalował sobie z wdzięczności każdy z górników nowe ubranie u Tricka, który z pełną kieszenią opuścił obóz poszukiwaczy złota.

Do tej chwili wytępił już 30 szarych niedźwiedzi, jest zamożnym człowiekiem i słusznie używa tytułu „sławnego niedźwiednika.

KORESPONDENCYE.

Gródek ostroszycki (gub. Mińska), d. 10. października 1900.

Przesyłam Szanownej Redakcyi opis polowania na wilki, bo innego polowania u nas właściwie nie ma.

Około św. Piotra i Pawła zaczęli gajowi chodzić za wilkami i wabić. U nas urządza się zwykle w lecie polowanie na wilki, ale nie można było tym razem urządzić go na św. Piotra i Pawła, bo włościanie, którzy pasze w lesie dzierżawią, straszą wilki i nie dają im spokoju, włóczą się one zatem z miejsca na miejsce, a nie trzymają się jednego — trudno więc przychodzi je wysłuchać i otoczyć. W każdym razie gniazdo wilków było, gajowi bowiem widzieli dwoje starych i cztery młode. We wrześniu ludzie zboża zebrali i zaczęli paść trzodę na swoich zrzyskach i ścierniach. Wilki ustaliły swój pobyt i wtedy gajowi zaczęli je wabić przez kilka dni. W końcu miesiąca września, w ostatnią noc wabienia, i ja pojechałem koło 10-tej wieczorem. Zastałem pięciu leśnych i objeżdżczyka, którzy palili ogień, bo noce były już zimne i nawet bywały przymrozki. Grzeję się, a chcąc być dokładnym pod tym względem, obracam się jak pieczeń na rożnie, żeby każdej stronie sprawiedliwa ilość ciepła się dostała. Objeżdżczyk rozsyła leśnych w różne punkty kniei, mniej więcej o 200 kroków jeden od drugiego, aby słuchali, gdzie wilki będą się odzywały, gdy on przy ogniu zawabi. Zawabił raz — poczekawszy, drugi raz — odezwały się daleko — gdy raz trzeci zawabił, w jakie dziesięć minut — przybiegły młode wilki blisko ognia, skowycząc różnymi głosy. Przypatrzywszy się ogniowi i spostrzegłszy prawdopodobnie ludzi, przestały wyć i zaraz odbiegły. Ten koncert wilczy tak blisko odegrany nie był bardzo przyjemny, wobec tego, że tylko sami bez broni koło ognia znajdowaliśmy się. Nadeszli leśni — każdy raportuje, gdzie mniej więcej wilki słyszał — i z tych raportów kombinujemy, gdzie na drugi dzień zrobić obławę. Rozjechaliśmy się do domu — objeżdżczyk zapowiedział tylko jednemu z leśnych, żeby zaznaczył miot. Robi się to w ten sposób, że idąc cichutko, obłamuje się gałęzie lub małe drzewka za sobą i w ten sposób robi się znaki, gdzie ma nagonka się ob-stawić. Drugi leśny pojechał razem do włości, aby zamówić obławę.

Jadę do domu zmęczony, bo późno — spać się chce, a tu trzeba zaraz wstawać, bo obława rano, a dziewięć wiorst trzeba jechać. Przyjechałem o 10 godzinie — obława już na miejscu, wszyscy z kijami, myśliwi rozmaitego pokroju, ze wsi, z zaścianków, z futorów — niejeden wiąże dopiero szpagatem flintę, żeby się nie ruszyła podczas strzału, bo chybić wstyd i żal — drugi dmucha w lufkę, czy „sapie", trzeci dłubie drutem w cylinderku, przeczyszcza go — i tak wszyscy coś robią, koło swoich strzelb ba, widzę, że i pistolety szykują. Ja tymczasem zajadam na śniadanie jarząbka. Zbliża się godzina dwunasta — gajowi liczą ludzi, jest 201 nagonki, 56 myśliwych i 6 psów gończych. Leśny jeden prowadzi obławę — objeżdżczyk rozstawia myśliwych. Stoimy na stanowiskach ze dwie godziny. Nareszcie dał się słyszeć strzał i odgłos trąb i naraz w jednem miejscu rozpoczęła się gorączkowa pukanina, bo wszystkie wilki razem stare i młode rzuciły się w jedno miejsce. Nie padł od tej pukaniny żaden — ale też i żadnego przez obławę nie puścili — więc się wilki po miocie całym rozbiegły, żeby na swoją rękę każdy szukać ocalenia. Słychać pojedyncze strzały — tu paf! tam puf! nareszcie i na mnie wytyka młody wilczura. Strzelam — wilk stoi na miejscu, podnosi łeb w górę i skowyczy zupełnie tak jak przestrzelony pies. Ale zaraz pada — mówię do leśnego, który stoi przy mnie, żeby go wyciągnął z krzaków — oglądam, ma strzał w krzyżach, inne grankulki niżej.

Nareszcie skończyła się obława o godzinie czwartej popołudniu, każę wszystkie wilki zabite poznosić do mnie, jest stary i trzy młode, razem z moim. Patrzę, a tu stary wilk ma zupełnie łeb popsuty, zakrwawiony, paszczę rozdartą, szyję popsutą, widocznie rozrąbano mu czemś pysk i wyjęto kły.

Pytam się o powód tego zmasakrowania — odpowiadają, że kły biorą dla dzieci, aby miały co gryść, gdy ząbków dostają, a to na to żeby takie mocne były u dzieci, jak u „wowka" i nie bolały ich, jak się będą wycinały —

a kogo boli gardło, temu dają pić przez grzdykę wilczą i będzie zdrów. Że to pomaga, wierzą święcie. Tymczasem jaki taki wali kijem leżącego wilka, i wymawia: „ty mi świnię zjadł, ty mi owcę zjadł“ i t. p.

Wilków u nas już coraz mniej — dawniej było ich więcej, to też dosyć ich zastrzeliłem — raz nawet udało mi się zrobić dubletę do wilków.

Andrzej Popowicz.

Turówka, d. 14. października 1900.

Dziś niedziela bardzo kosztowna, bo za wykopanie kartofli i buraków, Matkosio zabrał mnóstwo pieniędzy do rozdania ludziom, którzy kopali. A że pieniędzy nie wiele było, wieleż więc ich zostało? Próżnia taka niewesoło nastraja — trzeba choć miłem wspomnieniem rozjaśnić te czarne myśli.

Dnia 11. b. m., z łaski p. Zygmunta Mochnackiego, przeżyliśmy w Toustoługu piękny dzionek, — piękny — bo pogoda lipcowa, serce gospodarza gorące, progi gościnne, a laski pełne rozmaitej zwierzyny. W dwóch polowaliśmy kniejkach: przed południem w Białoskórce, gdzie do zajęcy nie strzelano, — a po popołudniu w Zaściance, bez żadnych zastrzeżeń.

Najsprytniej znalazły się rogacze, które, nie mając w tych miłych kniejach dostatecznej ochrony przed gorącymi promieniami słońca, (kniejki te bowiem urocze, ale jako bory, dawno do dziewictwa straciły pretensyę), wyniosły się do sąsiednich, więcej zacienionych lasów, zostawiając sarnom za towarzyszów w przechadzkach, parę bieglejszych snać w konwersacyi elegantów, z pięknemi koronami. Drogo ich ta galanterya kosztowała, bo życie. Lisy za to, z bezprzykładną w ich rodzie naiwnością wystawiały się na śróty. To też wiele ich wyszło, ale mało odeszło.

W Białoskórce nie strzelaliśmy do zajęcy, ale przyrzekł nam solennie gospodarz, dać im surową admonicyę na białym kobiercu za ich nieprzyzwoite i aroganckie zachowanie się wobec gości, na jakie wszyscy zgodnie użalać się mieliśmy powód. Wiedząc, że nie mamy do nich żadnego interesu, opadały nas na każdem stanowisku z taką natarczywością, że kapeluszem opędzać się było potrzeba. Siada to nieproszone przed myśliwym, który jak astronom, wpatrzony w niebo, śledzi z upragnieniem, czy słonka nie nadciąga, — i stroi jakieś miny, i wywraca koziołki..., ale czekajcie, — niech no Pan Bóg da śniegu, (byle po silnym mrozie, bo ozimina przepadnie) a da wam p. Zygmunt bobu! W Zaściance słonki i kuropatwy, których była znaczna ilość, ratowały życie zającom, bo któżby zwracał uwagę na tego szarego pajaca, widząc rysującą się na tle błękitu tę pełną wdzięku, lotną córeczkę Dyany.

Po skończonej zabawie przywieziono na ozdobnym rydwanie: 2 rogacze, 10 lisów, 12 zajęcy, 4 kuropatwy i jedną słonkę. A dla czego tylko jedną słonkę? Bośmy pudłowali.

Rezultat w każdym razie bardzo piękny. A nie mniejsza i korzyść moralna: odświeżenie umysłu, skołatanego kłopotami, których chyba nie brak każdemu, zdrowy ruch przy pięknej pogodzie, i miłe, a nerwom nieszkodliwe emocye, sposobność spotkania starych, dobrych znajomych, rozstrzelonych po różnych okolicach kraju, z którymi miło pogawędzić i o pszenicy i o Chińczykach. Za wszystko to wdzięczność i serdeczna podzięka kochanemu a gościnnemu gospodarzowi się należy.

B. R.

Nuszcze, d. 23. października 1900.

„Nie ma to jak słoncze dobre polowanie,
Bo choć mało padnie, ale jest pukanie!“

Kto tej jesieni miał czas, to się do tych kochanych długodzióbów mógł do syta napukać. Taką ilość słonek drugi raz w mem życiu widziałem. Choć u nas niestety z braku czasu prawie nie polowaliśmy, z wyjątkiem 20. b. m., za trzy godzin po południu w 4 strzelb padło w wydzierżawionej kniei sąsiedniej 7 sztuk słonek, 2 zające i jeden rogacz, ale już tylko z jednym rogiem. Drugi róg już dawno zrzucił. O wielkiej ilości słonek przekonałem się na ciągu wieczorami. Słyszałem, że w okolicy bardzo dużo padło.

Kuropatw było kilka stadek, z których ubito kilka zaledwie. Przepiórek stosunkowo dosyć ubiłem a nawet 15. b. m. jeszcze były strzelane. Stan sarn i zajęcy średni, za to dziki jak nigdy poryły po lasach, szczególnie kultury przewróciły do góry nogami. Daj Boże im się po śniegu odwdzięczyć, jeżeli się nie wyniosą za żołędzią w inne okolice. Mówi przysłowie, że człowiek nie wie, co go jutro czeka. Otóż tak jest teraz z gminnemi polowaniami. Przed dwoma laty byłem wysłany do wzięcia polowania gminnego, a że równocześnie trzy sąsiednie gminy nie miały licytantów więc i te wziąłem, choć nie spodziewaliśmy się w tych rewirach i zajączka ubić. Ale tak się złożyło, że w tych gminach obszary dworskie pewną część parcelują i to koło naszej granicy, na których to parcelach polowanie będzie nasze, za pewną oczywiście dopłatą. Przed dwoma laty nikomu się o tem nie śniło. Dla tego radzę każdemu przy licytacyach polowań gminnych brać, co się da, bo nikt nie wie, co jutro przyniesie.

Adolf Korpak, leśnik.

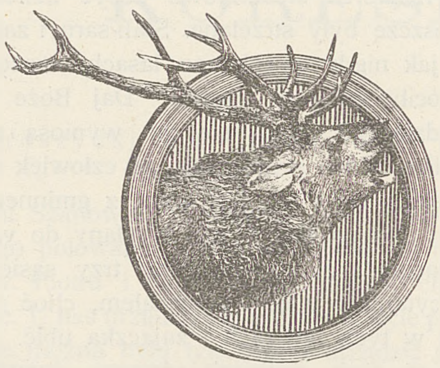
D. 22. października 1900.

W pałacu w Pieniakach rojno i tłumnie, ze wszystkich stron śpieszą zaproszeni, a oprócz zwykłego ciężaru kuferków i zawiniątek, ładunków, co niemiara. Ale bo też to jest knieja prześliczna. Tu starodrzewy, gdzie potężne buki potrząsają siwemi czuprynami, tam zwarte gąszcze i zapusty, przez które nagonka z biedą tylko się przedziera. W pierwszych słonki i sarny, w drugich lisy królują. Linie proste, długie i szerokie, a obie ich strony objęte aleją świerkową, bardzo malowniczo się przedstawiają, i choć podkrzesane od dołu, świerki te tworzą jakby ogromny parasol nad głową myśliwego, niejednej słonce ocalając życie. Pnie ich poobijane szablami dzików, i poobcierane przez nich, wyraźnymi świadkami, że dziki w tej kniei uroczej są, dzięki gospodarzowi, który zwierzynę tę ściągnął, gdzie jej przedtem nie było i opieką otoczył.

Wszędzie porządek wzorowy, a na dowód, że nagonka znakomicie chodziła, przytoczę, że ze zwartej świerczyny wyparła 5 dzików, otropionych po deszczu, po dwakroć na linią myśliwych. Jeżeli dziś knieja ta przy małym stanie dzików, różnorodnością zwierzyny i ogromną wyjątkową liczbą słonek jest pierwszorzędną, co to będzie

za lat kilka za eldorado w rękach takiego myśliwego i hodowcy. Jest to rzeczywiście wyjątkowa knieja, a liczba słonek bajeczna. W każdym miocie były, i z niejednego po 12 słonek leżało na rozkładzie. Jednego dnia mieliśmy ich 40, do tego lisów jedenaście, zajęcy trzydzieści ośm, jednego rogacza i dzika! Chyba niepotrzeba komentarzy. Strzelano do rogaczy tylko z parostkami, a do zajęcy tu i owdzie, gdyż niejeden przypuszczał je w nadziei słonki i lisa, które też ich nie zawodziły. Po ukończeniu łowów leżało na rozkładzie: 120 słonek, 30 lisów, jeden dzik, 7 rogaczy i około 100 zajęcy.

Wspaniały rezultat. Drużyna myśliwska dobrze strzelała, gdyż na sztukę przypadały dwa strzały bez mała i bawiła się po królewsku, a już humor jednego z towarzyszów był nieoceniony i niewyczerpany, zaś historya zajazdu na Litwie, opowieść z życia o salacie, historya czarnej kawy, humoreski huculskie, były tak świetne, że popłakaliśmy się od śmiechu. *S.*



Mizuń, d. 27. października 1900.

Lasy mizuńskie zajmują obszar 23.000 ha i posiadają grubego zwierza, jak niedźwiedź, wilk, ryś, dzik i jeleń. Polowanie wydzierżawione jest Jego Ces. i Król. Wysokości, Arcyksięciu Leopoldowi Salwatorowi, który raz w rok zjeżdża tu na rykowisko jeleni w towarzystwie zaproszonych gości. Tegoroczne rykowisko było wczesne, bo rozpoczęło się 9-go września, było jednak niepomyślne z powodu posuchy i ciepłej aury. W czasie łowów, trwających od 23. września do włącznie 5. października, ubito 10 jeleni, a mianowicie:

Arcyksiążę Leopold Salwator 2 dziesiątaki;

Ksiażę August Leopold Koburski 1 ósmaka, 1 dziesiątaka, 2 dwunastaki i 2 czternastaki;

Pułkownik Giesl: 1 szesnastaka;

Podpułkownik Eisler: 1 dwunastaka.

Przeciętna waga jelenia 250 kg., zaś wieńców 7 kg.

Rykowisko popsuły również snujące się tu ciągle wilki, które wielką wyrządzają szkodę w zwierzostanie, a wszelkie możliwe środki, przedsięwzięte ku wytępieniu ich, okazały się bezskuteczne.

Józef Maultz.

D. 23. października 1900.

Dnia 16-go października b. r., odbyło sie w Żabińcach, majętności Pana Kazimierza Horodyskiego, polowanie na słonki i inną zwierzynę — które stosunkowo do niewielkiego obszaru bardzo pomyślnie wypadło. Na przestrzeni 80 morgów kultury olszynowej, szuwarów i oczeretów ubito w 6 strzelb: 2 lisy, 24 zajęcy, 15 słonek — strzelano także do rogacza, ale dla gąszczów nie zdołano go podnieść w dniu polowania. Kuropatwy uszły szczęśliwie na pola.

Leon Horodyski.

Lwów, 23. października 1900.

W 7 strzelb polowaliśmy 17. b. m., w Bogdanówce koło Podwołoczysk. Rezultat 4 lisy, 17 zajęcy, 7 słonek. Tych ostatnich moc nieprzebrana, pudłowaliśmy jednak sumiennie — przy miernem strzelaniu powinno było paść co najmniej dwa razy tyle. W ogóle na Podolu w tym roku ilość słonek niezwykła.

W Kamionce koło Rawy polowaliśmy 19. b. m., także w 7 strzelb. Padło 11 zajęcy, 1 lis, 7 słonek i puchacz.

Wł. M.

Lwów, 25. października 1900.

Byłoby grzechem nie do darowania przemilczeć o niezwykle przedniej uczcie myśliwskiej, jakiej uczestnikami byliśmy w dniach 11-go i 12-go października b. r. w Niesłuchowie, majątku Ordynata Tadeusza hr. Dzieduszyckiego. Polowaliśmy przy bardzo pięknej pogodzie pierwszego dnia w 7 strzelb, drugiego dnia w 8 strzelb, mając w rezultacie na rozkładzie 77 słonek, 4 lisy i dwie kuropatwy.

Nadmienić przytem wypada, że wcale nie było widać słonek o sowim locie, a i wiele innych o wymuskanym wyglądzie w takich dziwacznych chodziło piruetach, że niejednokrotnie usuwały się z przed śmiercionośnych śrótów.

Z kuropatwami, których stan w Niesłuchowie należy nazwać więcej niż bardzo dobrym, nie spotkaliśmy się, mimo, że spędzono je do lasu. Piękna pogoda wywabiła je snać napowrót w pole.

Prócz czterech lisów, które znalazły się na rozkladzie, więcej nie ma ich w Niesłuchowskich a raczej w Żelechowskich rewirach. Do zajęcy i rogaczy nie strzelano, a byłoby można w danym razie stan rozkładu znacznie poprawić. Knieję Żelechowską, która ma swoją tradycyę, należy uważać za jedno z pierwszorzędnych słonczych stanowisk we wschodniej połaci kraju naszego. Kapryśnem jest ono o tyle, o ile kapryśnemi są w swoich peregrynacyach w zamorskie kraje słonki. Sprytnie jednakże podpatrzono je w tym roku i dzięki temu kto wie, czy nie stworzono dla wschodniej Galicyi, przynajmniej na ten rok, recordu słonczego.

Podpisany, który przy nadzwyczajnych względach Dyany, bardzo nie szanował się, wyszedł tylko z 10 słonkami i jednym lisem.

Dr. P. J. Mazurek.

Lwów, d. 27. października 1900.

Około trzy tygodnie temu, widziałem wieczorem w parku stryjskim, koło bramy wiodącej na gościniec stryjski, słonkę ciągnącą ku laskowi wuleckiemu. Przed czterema dniami, idąc z rodziną już o zmroku główną ulicą wystawową, spostrzegłem znowu słonkę, ciągnącą koło fontanny świetlanej ku willi p. Padewskiego. Wczoraj szedłem tą samą drogą i na tem samem miejscu widzę znowu lecącą słonkę, prawdopodobnie tę samą, bo w tym samym czasie to się odbywało, co kiedyś i tą samą zu-

pełnie drogę odbywała. Widoczną zatem rzeczą, oprócz tego, że wogóle ciąg tegoroczny jest niezwykle obfity, także i to, że słonki jeszcze nie myślą odchodzić, choć dwa dni zimniejsze mogłyby je były wypędzić — i że ci szczęśliwcy, którzy mają czas i sposobność z niejedną jeszcze słonką tego roku się spotkają, bo się znowu na pogodę zabiera. To zaś jest faktem, że słonka nie ciągnie dalej, póki jej nie wypędzi przymrozek, który ścina powierzchnię gruntu i nie pozwala słonce zapuścić dzióba głęboko w poszukiwaniach za glistami i robaczkami. Jak wiadomo w jesieni odbywa się także wieczorem ciąg słonek, trwa on jednak króciej i nie bardzo daje sposobność do strzału, bo słonka w jesieni ciągnie nisko, cicho i szybko leci ona bowiem tylko szukając odpowiedniego miejsca na żerowisko. Wiosenny ciąg jest spacerem rozkochanego ptaszka, szukającego bogdanki — jesienny koniecznym marszem smakosza do restauracyi. Wszystkie trzy słonki które teraz w parku stryjskim widziałem, ciągnęły bardzo nisko, wczorajsza prawie nad ziemią.

St. M.

Kronika.

Szybkość lotu ptaków. Razem z pewną liczbą gołębi pocztowych puszczono w Compiégne w r. 1896 jaskółkę, wychowaną w Antwerpii, a przez sztuczne zafarbowanie piór dającą się łatwo poznać. Poleciała ona jak strzała odrazu w kierunku swojego celu, nie potrzebując się podobnie jak gołębie oryentować co do kierunku swojego lotu. W godzinie i ośmiu minutach znalazła się w swojem gniazdku, odległem o 255 km. od miejsca wypuszczenia. Z tego okazuje się, że jaskółki przebywają na minutę piętnaście metrów. Przy takiej szybkości nie potrzebowałyby jaskółki na przebycie drogi z Afryki do nas więcej niż pół dnia, co zresztą zgadza się z doświadczeniami obserwatorów przelotu ptaków wędrownych. Przypadkowo udało się oznaczyć meteorologicznemu obserwatoryum w Blue Hill szybkość lotu kaczek. Wynosi ona 76·5 km. na godzinę czyli okrągło 20 m. na sekundę.

Historya psa. Dzienniki hiszpańskie podały w swoim czasie bardzo interesującą relacyę o przejściach psa nowofundlanczyka, a mianowicie z okazyi straszliwej katastrofy parowca „Reina Regente“, który w nocy na 5 marca 1895 ze wszystkiem, co się na nim znajdowało, poszedł pod wodę. Na pokładzie tego parowca znajdował się majtek, któremu towarzyszył we wszystkich podróżach pies nowofundlandzki, niezmiernie do niego przywiązany. Nie wiedziano, czy pies, który przy wsiadaniu pana na okręt był obecnym, teraz z nim na pokład „Reina Regente“ się udał, czy też pozostał w Kadyxie. W każdym razie pan i pies zniknęli razem z oczu. Po niejakim czasie wraca jednak pies ten do rodziny żeglarza, ku największemu jej zdziwieniu. Zwierzę poznało natychmiast ojca swojego pana — starzec padł zemdlony ze wzruszenia u nóg zwierzęcia, które przypomniało mu syna. Cała rodzina zbiegła się i nie wiedziano w pierwszej chwili, czy pierwej ratować starca, czy zajmować się psem, który szczekał z radości na widok rodziny swojego pana. Gdzie pies bawił przez ciąg 26 miesięcy, niewiadomo — tyle tylko dowiedziano się, że szedł od Gibraltaru. Od tego czasu nosi przywiązane zwierzę srebrną obrożę, jako pamiątkę od całej rodziny.

Psy wojskowe w armii niemieckiej. Od roku 1888 dodano psy wojskowe prawie każdemu batalionowi strzelców. Używano do tego krótkowłose psy legawe, psy owczarskie i pudle. Każda kompania posiada zwykle dwa psy oddane w opiekę jednemu z żołnierzy. Żołnierze ci tylko rano pełnią właściwą służbę, popołudniu są od niej wolni i oddają się tresurze swoich psów. Pies musi się naprzód nauczyć chodzenia na smyczy i posłuszeństwa, potem uczy się aportować, naszczekiwać przed koziołkiem do aportowania, pozostawać przy jakimś przedmiocie, póki do niego jego pan nie wróci. Następnie uczy się pies szukać zguby. To stanowi podstawę, do nauki przenoszenia meldunków, które jest pierwszem poważnem zadaniem psa wojskowego. W tym celu posyłają starszego psa, a młodszy, uczący się, idzie zaraz za nim. Najlepiej jest, gdy ktoś obcy weźmie psa od jego przewodnika i puści go w opisany wyżej sposób do niego. Posyłający wkłada karteczkę do małej torbeczki, uwieszonej u obroży psa, a ten, do którego pies został posłany, wyjmuje ją z torbeczki.

Po kilku razach pies pojmie, o co chodzi. Następnego zadania podobnie się pies uczy. Chodzi tu o donoszenie nabojów. Gdy się potyczka zaczyna, staje przewodnik psa przy kiesonie z nabojami, i obładowuje psa 150 nabojami, które wkłada do torb, umocowanych na psie podobnie jak siodło. Z tym ciężarem stara się pies dostać do linii tyralierów, poczem oddawszy naboje, wraca do swojego pana po nowy ładunek. Pies obładowany amunicyą pozwala sobie ją wziąść tylko żołnierzowi kompanii, do której należy. W wysokim stopniu interesującem jest wyszukiwanie zaginionych żołnierzy, o czem pies daje znać naszczekiwaniem. Pies znalazłszy ranionego np. w zbożu lub krzakach, staje nad nim i szczeka tak długo, aż ktoś, czy to jego przewodnik, czy inny jakiś żołnierz nadejdzie. Jeżeli mu się to nie uda, stara sie pies wziąść jakiś przedmiot, należący de ranionego np. czapkę i z tem w pysku odszukuje swojego przewodnika, któremu ten przedmiot pokazuje, na znak, że właściciel tego przedmiotu potrzebuje ratunku. Ranny sam daje psu czapkę, wiedząc, że w ten sposób najprędzej doczeka się pomocy.

Sprawozdanie oryginalne z targu zwierzyny.

Józefa Schmerla Grafa z Wiednia, III. Grossmarktstrasse.

Wiedeń, d. 24. października 1900.

Podczas gdy jelenie, zające i kuropatwy stale w coraz mniejszych partyach nadchodzą na targ, wskutek czego przy mocnej tendencyi osiągają dobre ceny, to sarny nadchodzą masami i sprzedawane są po niskich cenach. Zwyżka cen sarn nastąpi dopiero z 15. grudnia, albowiem w tym dniu kończy się czas sprzedaży kóz. Wielki popyt za zającami i kuropatwami za granicą spowodowuje zwyżkę w cenach tego rodzaju zwierzyny.

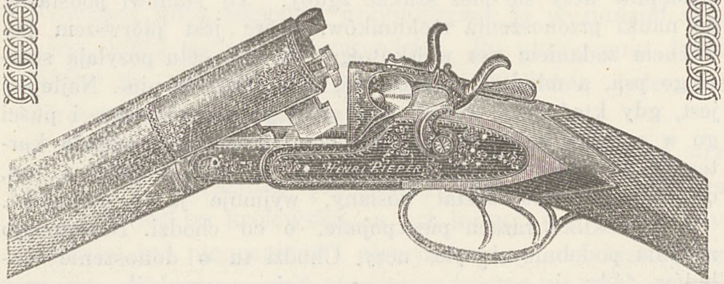
Obecnie notują włącznie z podatkiem spożywczym en gros „ab Halle:“ jelenie 80 do 96 gr. za 1 K., daniele 84 gr. do 98 gr. za 1 Kg., sarny 1 K. do 1 K. 20 gr. 1 Kg., zające silne 3 K. do 3 K. 20 gr., zające małe 2 K. do 2 K. 20 gr., króliki 80 gr., kuropatwy młode 1 K. 60 gr. do 1 K. 90 gr., dzikie kaczki 1 K. 60 gr. do 2 K. 20 gr., bażanty 2 K. 50 gr. do 4 K. 30 gr., jarząbki 2 K. do 2 K. 50 gr. za sztukę.

Józef Schmerl Graf.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka

broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:

Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Exprcsy, pojedyńcze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Coletha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Lwowska filia

Tow. wzajemnego kredytu w Krakowie

gmach Asekuracyi krakowskiej

we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 18.

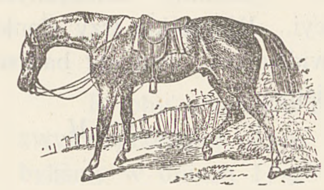
przyjmuje

WKŁADKI

i oprocentowuje je po $4^{1}/_{2}$% od sta rocznie.

65—30—?

Do 2.000 koron wypłaca bez wypowiedzenia.



MICHAŁ WALICHIEWICZ

we Lwowie, ul. Kopernika

rok założenia 1863

111—22—24 poleca swój

SKŁAD i PRACOWNIĘ

wszelkich wyrobów wchodzących w zakres rymarstwa, siodlarstwa i batożnictwa. Wszelkie zamówienia uskutecznia podług najnowszych wymagań. Przyjmuje również wszelką reperacyę i utrzymuje stale na składzie **mydła i tłuszcz do konserwowania skór**, jakoteż lakier do odświeżania i odnawiania tychże.

Konserwacya skóry.

Wazelina,
Tran prawdziwy,
Apretura na skórę,
Lakier matowy,
Lakier błyszczący.

Najtańszy skład

W. CZOPP

Handel farb i lakierów

Lwów, Żółkiewska 2.

Codziennie 2 razy wysyłka pocztą.

17—24

EMIL KUŹNICKI

FABRYKA

Papy dachowej, asfaltu, płyt izolacyjnych itp.

Oświęcim-dworzec

Filia: Lwów, Pasaż Hausmana l. 3.

Przedsiębiorstwo robót asfaltowych i krycie dachów ogniotrwałą papą.

132—24—24

NOWO OTWORZONY

Oddział Melioracyjny

lwowskiej Filii

Banku gal. dla handlu i przemysłu

ulica Jagiellońska l. 3

wykonuje wszelkie prace melioracyjne, jako to: zdjęcia planów, wygotowywanie kosztorysów do drenowania pól, nawodnienia i odwodnienia łąk, budowy rowów, kanałów, dróg, szos, kolejek itp., i poleca się do praktycznego przeprowadzenia powyższych prac. Finansowanie uskutecznia się podług każdorazowej szczególnej umowy. W razie już gotowych planów nastąpić może na podstawie tychże wykonanie pracy.

Dyrekcya.

15—16

ROK ZAŁOŻENIA 1872.

C. k. uprz. pierwsza austr. 105—17—?

FABRYKA KONSERW ZUPOWYCH

Zygmunta Ruckera, we Lwowie

wyrabia konserwy grochowe, kminkowe, soczewicowe itd. w kostkach obliczonych na jedną porcyę zupy. Znakomity i bardzo tani posiłek na polowania, wycieczki itd. Sposób przyrządzania szybki i wygodny. Wysyłka na prowincyę odwrotną pocztą. 10 sztuk **20 ct.**, 100 sztuk **1 zlr. 75 ct.**

W. PRIMUS i S. IGLICKI

we Lwowie

ulica Jagiellońska l. 12.

polecają swój bogato zaopatrzony

Magazyn materyj na meble, portyer, firanek do okien,

dywanów, chodników i dekoracyj pokojowych

niemniej w wielkim wyborze

kapy na łóżka i serwety na stoły; meble do salonów, sypialń, jadalni i męskich pokoi

TAPETY.

21—24 Własna pracownia tapicerska.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: Edmund Kolbuszowski.
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.